JAN BUŁHAK

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

ZESZYT

3-ci

PRZEZ PONARY DO TROK

3 1/2

JANA BUŁHAKA

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE.

Wychodzą perjodycznie pojedyńczemi zeszytami objętości około 2 arkuszy druku lub też serjami złożonemi z kilku zeszytów jednocześnie. Zeszyty zawierają tekst ilustrowany obrazami fotograficznemi autora lub są złożone z samych ilustracyj w większej ilości, zaopatrzonych w krótkie objaśnienia. Ukazując się pod osobnym tytułem i stanowiąc rzecz oddzielną, każdy zeszyt będzie jednocześnie częścią składową cyklu o jednolitym planie artystycznym, odtwarzającego piękno naszego kraju w słowie i w obrazie.

TREŚĆ „WĘDRÓWEK FOTOGRAFA"

Zeszyt 1. Krajobraz Wileński.
,, 2. Krajobraz widziany przez soczewkę.
,, 3. Przez Ponary do Trok.
,, 4. Kalwarja Wileńska.
,, 5. Nasze dwory.
,, 6. Jezioro Narocz.

DALSZE ZESZYTY W PRZYGOTOWANIU.

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE

III

JAN BUŁHAK

EXCURSIONS D'UN PHOTOGRAPHE

EN PAROLE ET EN IMAGE

III.

LE LAC TROKI

EXCURSIONS OF A PHOTOGRAPHER

IN WORD AND PICTURE

III.

THE LAKE TROKI

WILNO 1933
LIBRAIRIE — S. WOJCIECH — LIBRARY

JAN BUŁHAK

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA

W SŁOWIE I W OBRAZIE

III.

PRZEZ PONARY DO TROK

Z 12 ILUSTRACJAMI AUTORA

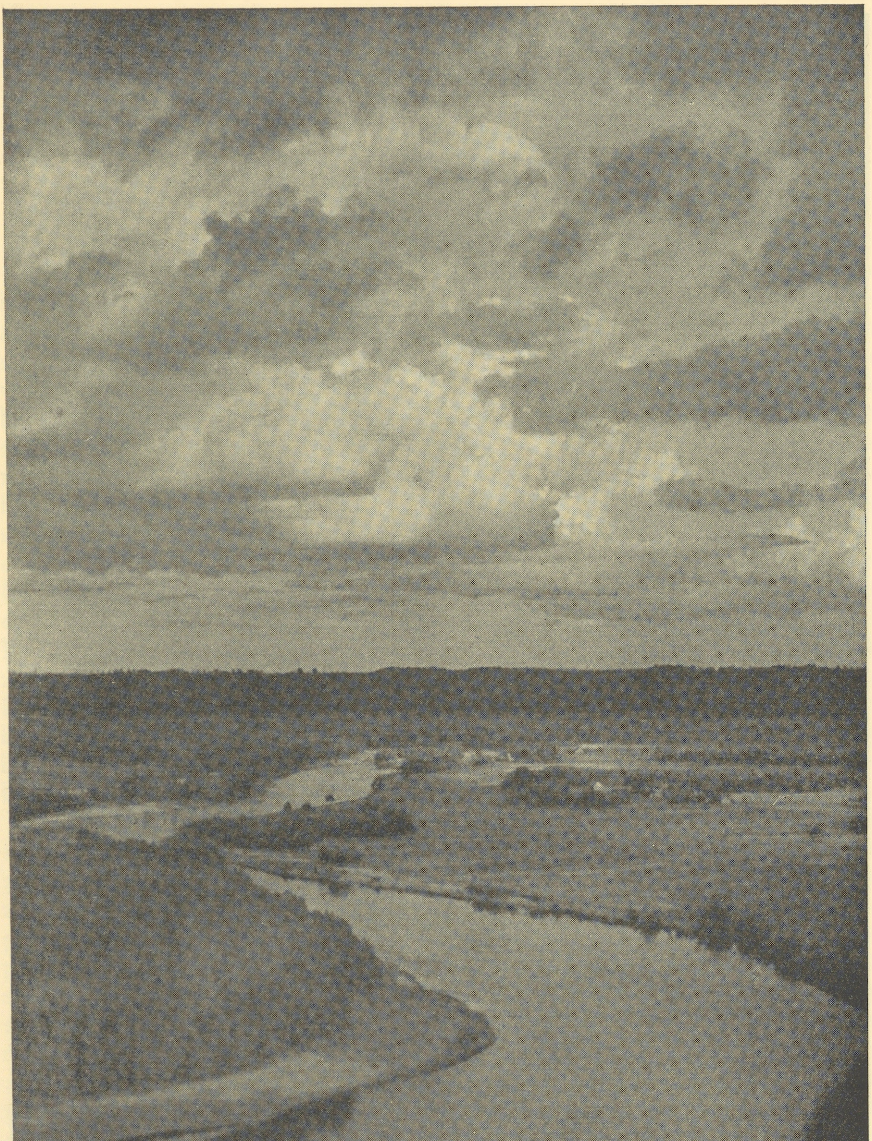
WILNO
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
WILNO — POZNAŃ — WARSZAWA — LUBLIN
1933

TEGOŻ AUTORA

1. MOJA ZIEMIA, wyd. L. Chomińskiego. Wilno 1919 (wyczerpane).
2. FOTOGRAFIKA. Zarys fotografji artystycznej. Wydanie Trzaski, Ewerta i Michalskiego. Warszawa 1931.
3. TECHNIKA BROMOWA. Wilno 1933. Skład główny w księgarni św. Wojciecha. Wilno—Poznań—Warszawa—Lublin.
4. WĘDRÓWKI FOTOGRAFA. I. Krajobraz wileński. Wyd. L. Chomińskiego, Wilno 1931. Skład główny w księgarni św. Wojciecha Wilno—Poznań—Warszawa—Lublin.
5. WĘDRÓWKI FOTOGRAFA. II. Krajobraz widziany przez soczewkę. Skład główny w księgarni św. Wojciecha. Wilno—Poznań—Warszawa—Lublin.

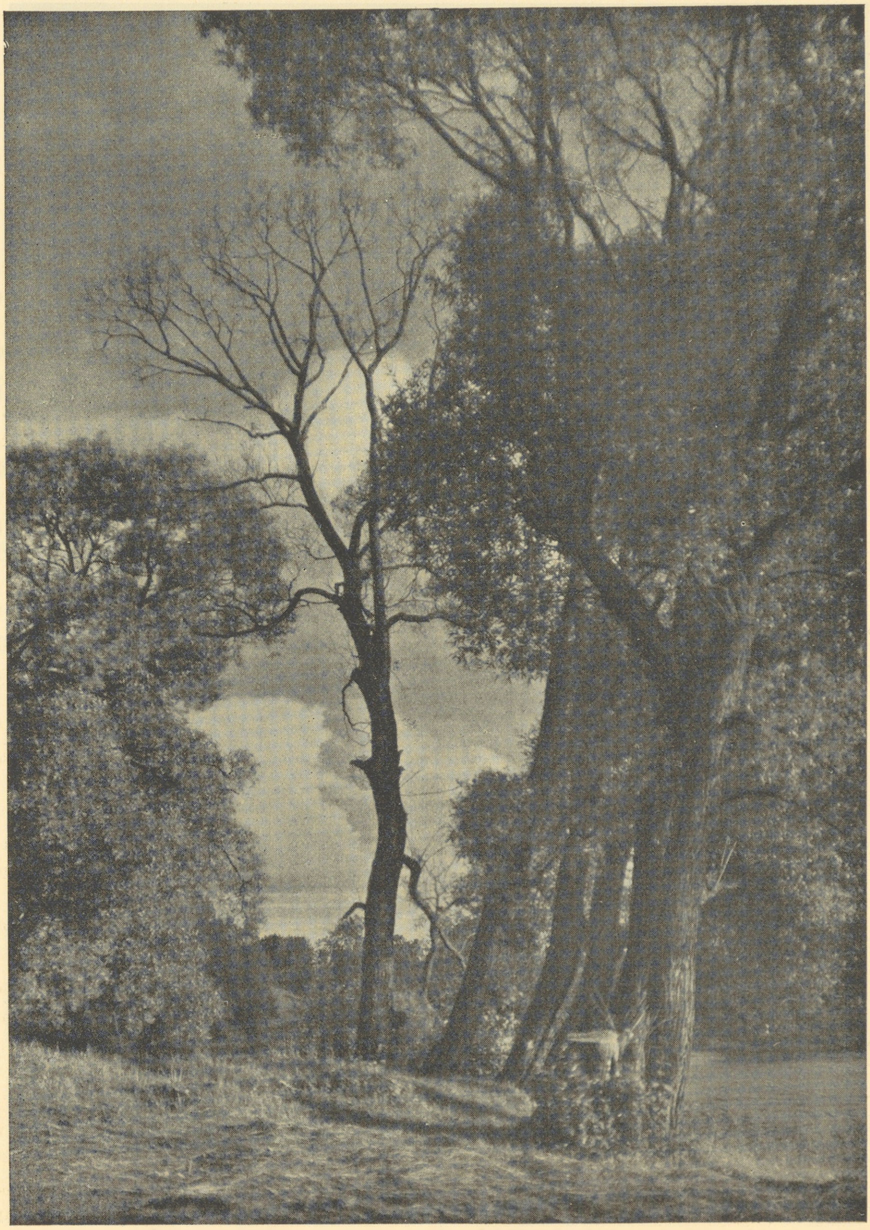
OKŁADKA JANA KRUSZYŃSKIEGO

ODBITO W DRUKARNI „LUX", WILNO, PORTOWA 7.



WILJA W GARUNACH

Oryginał wykonany na papierze Kodaka.
Odbito na papierze z krajowej fabryki J. Franaszek, S. A. w Warszawie



WYSPA NA JEZIORZE TROCKIEM

Oryginał wykonany na papierze Kodaka.
Odbito na papierze z krajowej fabryki J. Franaszek, S. A. w Warszawie

Przed niewielu jeszcze laty, zanim się nie rozwinął ruch autobusów dalekobieżnych, wycieczka do Trok była przedsięwzięciem turystycznem niemałej wagi. Po wyprawie na dworzec wileński następowała całogodzinna jazda koleją, wyładunek na dworcu w Landwarowie, a tam rozkoszny kłopot wyboru pomiędzy trzema sposobami dalszej lokomocji. Więc — albo odrapany dorożkarski klekot, zwany z rosyjska po żydowsku „zwoszczykiem", albo wielce muzykalny omnibus, wybrzękujący swemi szybami i blachami przedziwne kakofonje, lub też zgoła przedpotopowa „bałagoła",—bryka z budą, obciągnięta płótnem i udająca arkę Noego w miniaturze—wszystko to było do rozporządzenia odważnego podróżnika i obiecywało po krótszym lub dłuższym czasie dowieźć go do Trok, jeśli na to zasłużył hartem ducha i rezygnacją chrześcijańską. Wskutek tych komplikacyj Troki były rzadko uczęszczane i uważane za punkt odleglejszy, na czem zresztą najwięcej tracili sami wilnianie, nie wiedzący o istnieniu takiej perły o trzydzieści kilometrów od Wilna. A Troki po staremu hodowały karaimskie ogórki na wąskich przesmykach urodzajnego lądu w przepysznej oprawie jeziornej i były piękne same dla siebie, bez udziału wileńskich krajoznawców.

Dziś warunki zmieniły się zupełnie. Nowoczesna szosa wyprostowała drogę w kierunku północnym od linji kolejowej i znacznie zbliżyła Troki, do których można się dostać autobusem bezpośrednio z Wilna w niecałe pięć kwadransów, wyjeżdżajac z miasta ulicą Legjonów. Za przedmieściami droga mija folwark Ponary, a następnie przecina północny kraniec gór ponarskich w tem miejscu, gdzie góry schodzą do Wilji. Na szczycie jednego wzgórza stoi kaplica, słynna z bitwy stoczonej w jej pobliżu przez oddziały powstańcze Chłapowskiego, Giełguda i Zaliwskiego w czerwcu 1831 roku z wojskiem rosyjskiem, i okolica jest pełna wspomnień z epoki pierwszego powstania. Kaplica na pagórku w leśnej samotni wznosi się, jak strażniczy obelisk dawnych dziejów i spogląda ku szeroko rozpostartej wileńskiej nizinie z jakimś legendarnym wyrazem. Dojeżdża się do kaplicy serpentyną szosy, która wspina się coraz wyżej nad okolicznym krajobrazem, urozmaiconym szachownicą osiedli, ogrodów i gajów i wspaniałym meandrem Wilji. Na wyższych zakrętach ślimak szosy już wgłębia się w zalesienia i wplata w perspektywę rozległej dali rosochate

sylwety dębów i sosnowe pióropusze. Wzrok mile błądzi po tem nagromadzeniu widoków o filmowej zmienności i długo zachowuje wrażenie wzlotu ponad równiną i wysokiego szybowania nad jej rozścieliskiem.

Kto chce to wrażenie spotęgować, ten ma tu w pogotowiu sposób niezawodny. Jest nim—wycieczka do niedalekich Garun. Trzeba przy kaplicy wysiąść z autobusu i powiedzieć sobie, że do Trok pojedzie się o kilka godzin później, a tymczasem zboczyć na manowce i wziąć za cel wysoką łysą górę z majakiem na szczycie ponad urwistem osypiskiem, która stanowi ostatnie ogniwo w ponarskim łańcuchu i wyraźnie jest widoczna z szosy przed ślimakiem w kierunku rzeki. Jest to właśnie góra Garuńska. Ma się do wyboru dwie drogi: jedną dołem przez Jankowszczyznę nadbrzeżnemi łąkami i brzeźniakami, bardzo ładną, ale dalszą, dosyć błędną, a drugą drogę—górą poza kaplicą ponarską. Minąwszy kaplicę, stajemy u rozwidlenia trzech dróg, rozchodzących się wachlarzem: lewa—to trakt grodzieński, środkowa—szosa trocka, a prawa—trakt kowieński. Tym ostatnim idziemy jakieś pół kilometra i skręcamy na prawo pierwszą leśną dróżką, która poprowadzi do wsi Garuny, odległej stąd o dwa kilometry. Już przy zbliżaniu się do niej przeglądają między sosnami przedziwne widoki spadzistego pobrzeża Wilji, a sama rzeka przebłyskuje w tak niespodziewanej nizinie, że dopiero wówczas uświadamia przechodzień wyniesienie, na jakiem się znajduje. Zaraz potem mija się ubogie chatki Garuńskie i wstępuje na upragnioną górę stokiem piaszczystego wąwozu, zasłaniającym widok aż do ostatniej chwili. Jeszcze kilka kroków — i jesteśmy na szczycie, skąd nagle uderza wzrok niezmierna, dech zapierająca panorama, jakieś zjawiskowe objawienie ogromu i dali. Grążą się oczy, gubią się myśli w przerażonem zachwyceniu. U naszych nóg leży rozpostarty cały świat, jakieś czarujące eldorado linij, kształtów i kolorów, i brak, zda się, tylko czarnej postaci szatana, coby wskazywał dal uskrzydlonem ramieniem i szeptał do ucha zwodnicze obietnice władztwa nad wszystkiem dokoła, jak na drzeworycie biblijnym Gustawa Dore'go...

Nie zapomnę nigdy pierwszego wrażenia na tej dziwnej górze. Zdało mi się, że oto jakaś nieznana moc rozdarła zasłonę niewiadomości i ukazała mi obraz ziemi obiecanej, pełny wielkości i ponęty. Był wieczór burzliwy i chmurny. Przez zwały sinoburych obłoków, przeganianych wichrem, przeświecały jaskrawe smugi czerwieni i gorącemi łunami malowały widnokrąg. Tęgie podmuchy wiatru parły naprzód, łopocąc płaszczem, jak żaglem; góra wynosiła się w niebo i kładła na brzeg przeciwległy głębokie plamy granatowych cieni. Podany ku przepaścistej dalekości, czułem się listkiem, niesionym w przestwór skrzydłami wichru, jakimś chłopakiem z bajki, porwanym przez czarodziejski dywan - samolot i przelatującym górą nad

zmalałym krajobrazem ziemskiej powierzchni. A dołem rzeka kreśliła obłączaste skręty, najeżone sierścią brzeżnych zarośli i staczała się w pustkę zmierzchłego oddalenia; niespokojnie kotłowały fjoletowe opony chmur, zapalały się i gasły szkarłatne prześwity zachodu, a w czarnym wąwozie posępnie migotały na sosnowych szczytach ostatnie jego pobłyski. Niesamowitą grozą dyszał świat i dramatyczną wizją żywiołowej wielkości legły mi w oczach i w pamięci czerwone i sine ponure Ponary...

Innym razem wędrówkę do Garuńskiej góry odbyłem drogą dłuższą i trudniejszą, nie wzgórzami, tylko dolinnem łożyskiem Wilji — mimo zaścianków Jankowszczyzny, otulonych w miłe brzeźniaki, rozsypane po stokach ze spokojnym wdziękiem flamandzkich pejzaży. Dolina, z początku szeroka, zwęża się w miarę zbliżenia do wsi Nieskucznej, wysoko uczepionej do jej stromego pobrzeża, jak gdyby w obawie przed wpadnięciem do wody. Pierwotnie zabłąkana po osiedlach, droga zostaje zepchnięta przez rzekę do podnóża gór i wąskim przesmykiem dochodzi do wsi Buchty. W narzeczach ruskich „buchta" oznacza zatokę i w rzeczy samej Wilja w tem miejscu zakreśla śmiały łuk eliptyczny i powabnię zamyka wioskę w krągłej lądowej zatoce. A tuż na lewo rozłożyła się Nieskuczna, cała rozpełzła po tarasach góry i pnąca się pojedyńczemi siedzibami aż ku jej szczytom. Nieskuczna—słusznie tak nazwana dla swych naprawdę ciekawych i radości pełnych widoków, jest poprostu miniaturowym fragmentem Szwajcarji. Strome ścieżki między chatami i ogrodami wspinają się coraz wyżej i otwierają panoramy coraz szersze i piękniejsze. Co chwila jakaś kępa grusz, jakiś sad wiśniowy, dopiero co miniony, już ściele się do stóp idącego i rozkłada się kolorową mozaiką, dając coraz nową oprawę błękitnym niespodziankom wgłębionej w dolinę rzeki, a wszystko czaruje rozmaitością o wciąż rosnącem natężeniu. Gdy zaś dotarło się do wierzchołka góry — to jakaś fantasmagorja malowniczości, ale i grozy roztwiera się na wszystkie strony świata. Bo świat cały jest hen — w dole, pod nogami. Widzi się go, jak z lotu ptaka, ma się go podległym sobie, ukazującym swoje dwa jakże różne oblicza. Z jednej strony — wzorzysta i przymilna mapa geograficzna dolinnego roztocza Wilji, z drugiej—ku Garunom—wyniosła, surowa formacja ponarskich gór.

Proszę sobie wyobrazić jakieś katastrofalne trzęsienie ziemi, które natłoczyło wzgórza jedno na drugie, poprzerzynało je głębokiemi rozpadlinami wąwozów, dźwignęło całe wielopiętrowe miasto pagórków i osadziło je na straży u brzegu rzeki. A czas ubrał wierzchy w ludzkie sadyby, najeżył je czubami ogrodów i zarośli, wyżłobił i pogłębił urwiste jary strumieniami, spływającemi do rzecznego łożyska, umaił garby kolorową odzieżą zbożowych łanów. A słońce ozłociło granie gór, zaigrało po zboczach, zstępujących schodami na



DOLINA WILJI Z GÓRY GARUŃSKIEJ

Oryginał wykonany na papierze Kodaka — Odbito na papierze z krajowej fabryki J. Franaszek S. A. w Warszawie



DOLINA WILJI Z GÓRY GARUŃSKIEJ

Oryginał wykonany na papierze Kodaka. Odbito na papierze z krajowej fabryki J. Franaszek, S. A. w Warszawie

dno przepaści, napełniło je mrokiem wiecznego cienia. A ponad tem pobojowiskiem natury, pełnem dzikiego uroku, rozpiętrzyło się wysokie obłoczne niebo i przyniosło dziwowisko chmur ołowianych i burych, co przewalają się posępnemi zastępami i potęgują groźną wymowę tego dantejskiego obrazu... Rzekłbyś, że to jakiś gród wyginionych olbrzymów, starty z oblicza ziemi przez tajemne moce, które same przeminęły, pozostawiając na dumnych wyżynach jeno nędzne lepianki teraźniejszości, nic nie wiedzące o dziejach wielkich a dawnych...



GARUNY

Tak wygląda Nieskuczna. Koniec jej leży już na równym płaskowyżu i krągli się kopułami swych zadrzewionych sadów z sielankowym spokojem, nie dającym najmniejszego pojęcia o dramacie, jaki rozegrywa się o kilkaset kroków wstecz. Stąd droga prowadzi mimo Garun do opisanej już góry z majakiem, z której rozprzestrzenia się ten niezrównany widok na obydwa kręte załomy Wilji — w jedną stronę ku Wilnu, a w drugą — ku Buchcie i dalej położonym wzgórzom Linkowszczyzny. Ażeby wyczerpać do dna wrażenia tej wycieczki, należy zatem odbyć ją całą w takiej kolejności: ponarska

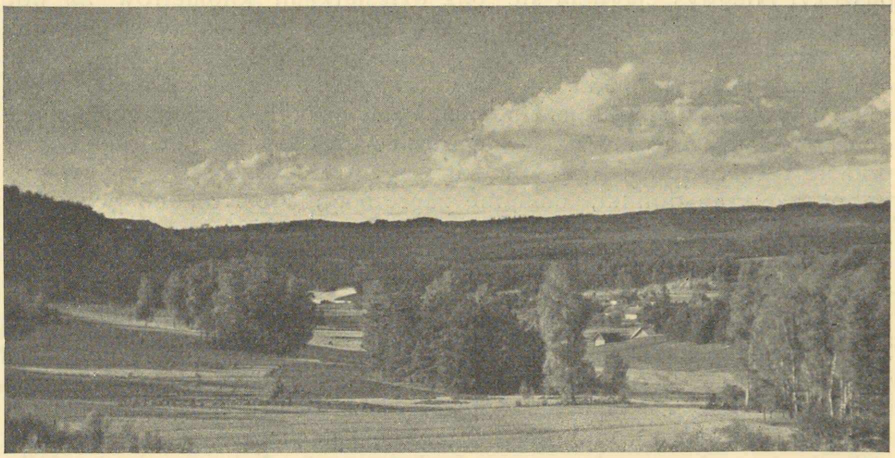
kaplica—szosa kowieńska—Garuny—Nieskuczna—zejście do brzegu Wilji, Jankowszczyzna i znowu szosą do kaplicy. Wtedy dopiero można zmierzać przez Wakę i Landwarów ku Trokom, jeśli pozostanie na to czasu. Ale lepiej jest poświęcić cały dzień na tę jedną wędrówkę.

Nie ma na to rady, że w ten sposób pomija się najpiękniejszy może z klejnotów krajobrazu podwileńskiego—serce gór ponarskich, których tylko krańcowe skrzydło musnęliśmy w opisanej przechadzce. Ażeby nacieszyć się Ponarami w całej ich rozciągłości, należy osobno pojechać koleją do Landwarowa, albo jeszcze lepiej — pójść pieszo plantem kolejowym, który wrzyna się w sam środek ponarskiej puszczy. Niegdyś ciągnęła się ona dziesiątkami kilometrów aż pod same Wilno i słynęła z częstych napadów zbójeckich w swych dzikich ostępach, a i teraz jeszcze ogarnia szeroki szmat kraju od Wilczej Łapy i Burbiszek aż po Chazbijewicze i Białą Wakę nad rzeczką tejże nazwy. Dzisiaj puszczą ją można nazwać tylko retrospektywnie—oparły się niszczącemu działaniu czasu i siekiery jedynie pojedyńcze połacie leśne, obrastające łańcuch wzgórz i spuszczające się w głębokie, zaciszne dolinki, umajone zagrodami; ale i to, co pozostało, posiada odrębną cechę malowniczości poważnej i surowej, nieledwie patetycznej, jakże odmiennej od uśmiechniętych i rozigranych pobrzeży zdrobniałej Wilenki.

Piętno to nadają krajobrazowi ponarskiemu dwie wielkie linje, które go kształtują mocnemi zarysami na znacznej przestrzeni: bieg rzeki i łańcuch gór, których spotkanie tworzy tę majestatyczność. Trasa kolejowa przecina wpoprzek jeden za drugim górzyste leśne grzbiety i scenerja widoków zmienia się ustawicznie. Naturalnemi tunelami wąwozów wpada się z jednej doliny w drugą; zanim przemierzyło się okiem ustronne powaby pierwszej, już przychodzi następna z szybkością rozwijanej wstęgi filmowej, ażeby zachwycić jakąś prześliczną kotliną, najeżoną po krańcach wysokim lasem, jakimś wabnym pagórkiem, falującym płowemi grzywami żyta, jakąś zatuloną siedzibą ze studziennym żórawiem i jabłoniami. A po bokach—spiętrzone sosnowe ściany, a w głębi — rosochate dębowe samotniki, zamykające scenę zielonemi kulisami... Chciałoby się zatrzymać te ulatujące miraże, a oto już wyrasta nowa piramida rozkopu, i zarzuca na nie zieloną zasłonę, a po jej przelocie oko pobiegło znów w zaciszną rozłożystość następnej doliny. I tak wciąż dalej wpada się i wypada z tych przyrodzonych tuneli, chwytając w lot widoki i wrażenia, zanim prawdziwy tunel kolejowy nie zapuści czarnej i dymnej kurtyny na to czarodziejskie widowisko, splecione z migotliwej zmienności, niesłabnącego zaciekawienia i nieustannej uciechy oczu.

Za tunelem pociąg zatrzymuje się na przystanku Ponary, a gwizd lokomotywy sygnalizuje zakończenie filmu ponarskiego. Oko-

lica spłaszcza się i ubożeje na czas jakiś, by znowu nabrać urozmaicenia w dolinie Waki z niezwykle wysoko położonym mostem. Jadąc szosą, minęlibyśmy młyn z szerokim rozlewem tej rzeki. Linja kolejowa panuje nad całą okolicą i biegnie mimo dworu Waki z okazałym pałacem, wzorowanym na Łazienkowskim, wśród rozległego starego parku. Obydwie te drogi schodzą się w Landwarowie, który także stanowi zajmujący etap podróży i posiada zamek i ogrody, warte zwiedzenia... My jednakże tam się nie zatrzymamy. Musimy śpieszyć do Trok, do których zdążaliśmy dotąd bez widoczniejszego wyniku z powodu dystrakcyj, jakie nam nastręczały Ponary.



JANKOWSZCZYZNA

Miasteczko Troki (właściwie — Nowe Troki, bo stare Troki są gdzieindziej)—miasteczko to jest oddalone od Landwarowa o 9 kilometrów, ale jezioro, a raczej pojezierze trockie—cały kompleks tych jezior—rozpoczyna się tuż zaraz za Landwarowem. Po kilku mniejszych przychodzi Łuka, stanowiąca prawą część modrego trójliścia trockiego, którego dwa inne listki wabią się Galwe i Okmiany, a łodygę którego wyobrażają wąskie korytarze jezior Tataryskiego i Bazyljańskiego. Liść środkowy wpiera się podstawą w przesmyk miasta, które w ten sposób tworzy rdzeń łodygi trójliścia i samem topograficznem umiejscowieniem już wiele mówi o malowniczości Trok.

A co powiedzieć o kunsztownym kształcie każdego jeziornego listka? Żadne roślinne arcydzieła egzotycznej flory, dzierzgane w najmisterniejsze koronki, nie dorównają przedziwnej rzeźbie wybrzeży

tego potrójnego wodnego cudu, co wywija kapryśne arabeski, zatacza wężowe spirale, wykraja zaciszne zatoczki i półwyspy, a wszystko bujnie rozzielenione leśną gęstwą, wszystko dyszące mocnym, wolnym rozrostem samotnego piękna... Cieśniny, łączące jeziora, obfitują w zakręty tak nieprawdopodobnie powikłane, w odnogi i cyple tak dziwacznie postrzępione, że można całemi dniami pływać po jednym jeziorze i nie wiedzieć, że tuż, za lesistą ścianą znajduje się drugie. Pałac i dwór w Zatroczu, naprzykład, zdają się



TROKI. JEZIORO, ZAMEK I MIASTECZKO

leżeć na stałym lądzie u brzegu jeziora Galwe i dopiero po dłuższych wodnych perygrynacjach wykrywa się, że Zatrocze—to trójkątny półwysep, okolony dwoma jeziorami, półwysep, za którym rozłożyło się drugie wielkie jezioro—Łuka.

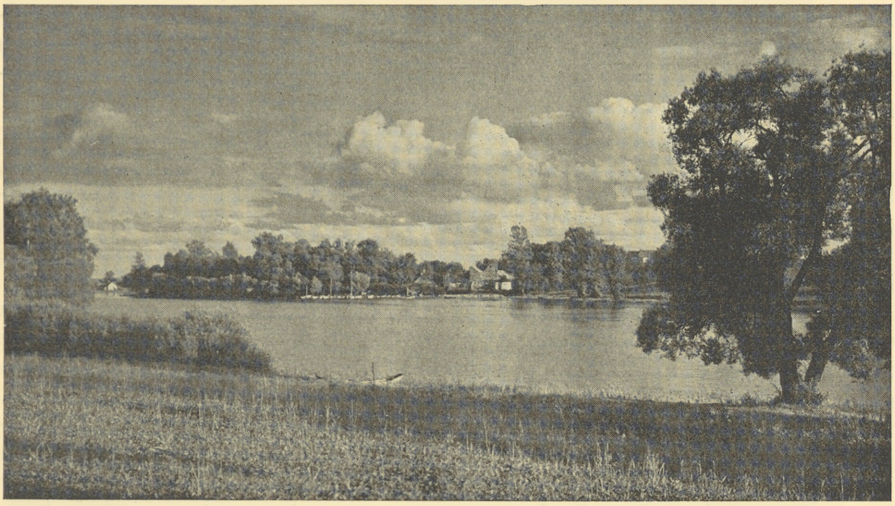
Wzorzysta rzeźba brzegów zarośniętych i pagórkowatych w połączeniu z mnogością wysp stanowią o szczególnym powabie tego szczęśliwego zakątka. Gdzieindziej jeziora o prawidłowych zarysach owalnych lub okrągłych nudnie spozierają pustemi, obnażonemi brzegami, obojętnie leżą w płaskiej okolicy bez żadnej ozdoby ani wyrazu. W porównaniu z niemi jeziora trockie wydają się zjawiskami

z czarodziejskiego świata baśni, takie mają królewskie bogactwo położenia, taką barwną rozmaitość widoków, takie skarby roślinnej odzieży.

Bramy do tego edenu tworzy „miasto". Usadowiło się kilkudziesięciu domkami na przesmyku wydłużonym, a tak wąskim, że miejscami szerokość jego zaledwie starczy na jedną jedyną ulicę, domostwa zaś po obydwuch jej stronach już zstępują do wody. Dochodząc do załomu przy górze Ofiarnej, ulica rozszerza się i ukazuje zwaliska rozległego zamku lądowego, który sam jeden mógłby zapełnić osobne miasteczko. Teren zamkowy został częściowo zabudowany, a reszta jego tworzy park miejski z przystanią, otoczoną aleją wierzbową, skąd się odpływa do zamku wyśpianego lub wogóle na jeziora. Czerwoną sylwetą jedynej pozostałej wieży widnieją zdala ruiny zamczyska i stanowią narówni z miastem zwykły cel przepisowych wycieczek zwiedzających Troki gości. Zresztą—nie bez powodu. Warto przejść się jedyną ulicą Trok, kąpiącą się krawędziami w jeziorach i spojrzeć na wyniośle ufundowany kościół farny; warto wejść przez park na górę Ofiarną o stożkowym kształcie przedwiecznego grodziska i nacieszyć się dookolnym widokiem ogromnej wodnej przestrzeni, a wreszcie popłynąć do wyspy zamkowej przez cichą gładziznę jeziora. Tam na brzegu przywitają nas stare wierzby, a ścieżka w zaroślach zawiedzie mimo okrągłej baszty do zamkowego dziedzińca. Wstępując na mur, dojdziemy do drugiej baszty narożnej i stamtąd ogarniemy wzrokiem całą wyspę podwójnie opierścienioną ruinami i gęstem zadrzewieniem brzegów z miłą zieloną łączką pośrodku. Drzewa i krzewy zwarto obrastają tu mury jakiemś miłośnem przytuleniem, które osłania zniszczone zamkowe resztki. Te sczerniałe wyrwy i rdzawe okaleczenia powinnyby głosić krwawe legendy o wojennych gwałtach i mordach, o okrutnych i dzikich czynach dawnych wieków. Ale wszechmocna przyroda upiększyła je tak pieściwie łaską swej niewyczerpanej bujności; wiotkie brzozy tak puszyście powiewają trefionemi przez wiatr kędziorami, a bukiety bzów i akacyj ponad lasem rozmaitych ziół taką cierpko pachnącą gęstwiną oblegają i wieńczą rumowiska, że tragizm dziejowy zostaje opanowany i zatarty przez sielską liryczność teraźniejszości spokojnej i beztroskiej. To też wędrowiec nie doznaje tu innych wrażeń i refleksyj, prócz słodko niepokojącej myśli o tem, jak cudnie muszą na tej wyśpie śpiewać w maju słowiki i jak rozkosznie jest znaleźć się we dwoje w tym małym raju, jakby stworzonym dla lubych wczasów młodych i pięknych kochanków.

Ale niestety—raj wyspy Zamkowej leży na najbardziej uczęszczanym szlaku wycieczkowym i jego zacisze ustawicznie zakłócają spacerujące tłumy. W takich warunkach niełatwo o momenty ciszy i kontemplacji, i ten, kto ich pragnie, wiedzieć powinien, że gdziein-

dziej należy szukać zaklętych skarbów trockiego sezamu. Sumienny turysta z krajowym Baedeckerem pod pachą napewno się z niemi rozminie i nie będzie nawet wiedział, jak wiele stracił przez obstawanie przy utartym szlaku. Trzeba więc zboczyć z tego szlaku na odkrywczą żeglugę do innych wysp, któremi jezioro jest obficie usiane, bo tam dopiero ukrywa się od oczów ludzkich jego czarowna tajemnica. Trudno określić czynniki, jakie się na nią składają: są to rzeczy pozornie błahe, prawie nieuchwytne, a jednak w zespole swoim decydujące. Na razie widzi się — ot, takie sobie zwyczajne zielone



JEZIORO TROCKIE. WYSPA.

wysepki i tyle. Ale trzeba się im przyjrzeć nietylko zbliska, ale i od wewnątrz. Wysp jest na Galwe kilkanaście, od małych kępin z czubami szuwarów i łoziny do sporych ostrowów o wysokiem i gęstem zalesieniu.

Skupione przeważnie w południowo-zachodniej stronie, ułożyły się wyspy jedna za drugą w przemiłą szachownicę i przy zbliżeniu rozsuwają się niczem dekoracje sceniczne i odsłaniają coraz nowe, coraz powabniejsze widoki, pełne błogiego spokoju i zamyślonej ciszy. Tylko płynąć—i patrzeć... Można zapomnieć o całym świecie, można nie spostrzec, jak przeminie długi dzień letni, błąkając się z wiosłem w ręku po tym przedziwnym archipelagu, sunąc zwolna łodzią przez szuwary mimo kwiecistego bezludzia tych uroczych oaz wyspianych, jakby przeznaczonych do rozkoszowania się chwilami słonecznej szczę-

śliwości w błękitnym wszechbycie wody i nieba. Lekko sfalowana mora wodnej powierzchni wygładza się w nieskalane przeźrocza, powtarzające zwierciadlanem odbiciem kuliste bukiety brzóz i chwiejną siatkę sitowia. Każda chmurka przepływająca górą, wdzięczy się w tem szafirowem lustrze śnieżystym lub różanopłowym sobowtórem, a miłościwe słońce rozpala na wodnej toni olśniewające ognisko i śle z niego na wszystkie strony gorącą pieszczotę złotopromiennych strzał. Z głębin jeziornych wynurza się drugi równie świetny dysk słoneczny i, roziskrzony, stoi na wodzie i promienieje falującemi światłokręgami, a potem załamuje się i rozchodzi kolisto i szeroko drżącem zamieraniem. I tak leżą na jeziorze w omdlałym dosycie letniego dnia „wyspy szczęśliwe", pławią się w jego rozradowanej jasności, niby wygrzane w słońcu syreny i, jak owe mitologiczne syreny, wołają ku sobie i kuszą nieprzemożoną ponętą....

Niepodobna opisać je wszystkie w całej ich różnolitej krasie. A zresztą — ilużby powiedziało, że wszystkie są do siebie podobne, bo jednakowo puste i dzikie. Ale trzeba je zwiedzić kolejno, zaopatrując się w zapas wolnego czasu i niestępionej wrażliwości, w dobrą wolę odczuwania skupionego i beztroskliwego. Wówczas zrozumie się ich niezrównany czar.

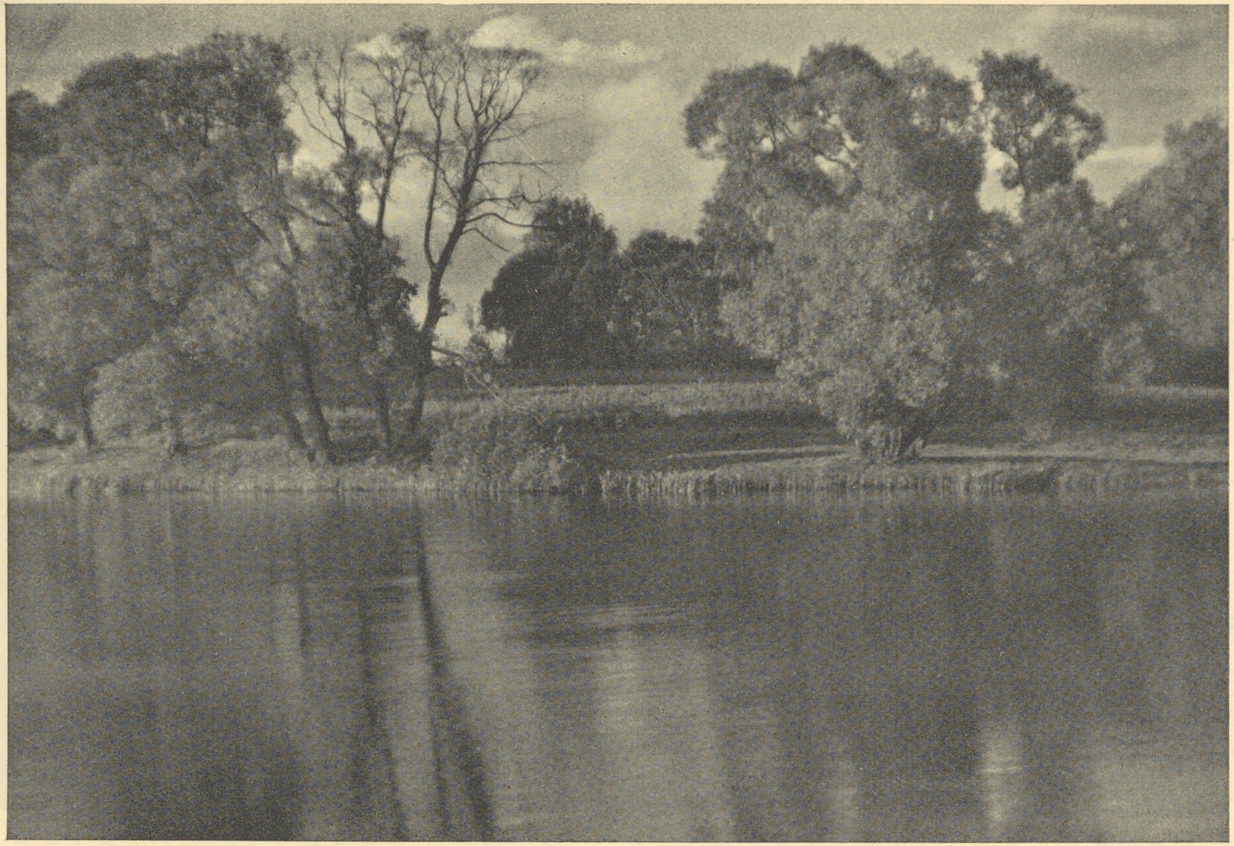
Bliżej zachodniego brzegu miasta jest jedna duża wyspa, zdala widna wysokiemi drzewami. W pagórkowatem jej wnętrzu płowieje żytnia niwa, a boki obrastają staremi wierzbami i brzozami o wielkich gałęzistych konarach i o rozłożystych, krągło sklepionych wierzchach. Brzozy maczają w wodzie rozwiane włosy, a wierzbowe ramiona błagalnemi chwytami wydzierają się ku niebu. Przystanęły na brzegu i skamieniały w zastygłym geście, pełnym patetycznej wymowy, jakby żywe stworzenia, w kształt drzewny urzeczone. Widziałem kiedyś obraz Ruszczyca, zwany „Dożynki"—czy „Sobótki",—jakiś prawieczny dwugłos ludzi i przyrody pośród misteryj letniej nocy. Mogłyby te sobótki dziać się tutaj, na tem zielonem wzgórzu, ocienionem sędziwemi drzewami, i nie byłbym wcale zdziwiony, jeśliby z zarośli wynurzył się taneczny korowód boginek z wiankami na rozpuszczonych warkoczach, jak przed lat tysiącem, gdy były one żywym i prawdziwym bytem w dziecięcej wyobraźni pierwotnego człowieka...

Ale najpiękniejsze wyspiane szmaragdy wtopiły się w turkusową emalję jeziora za wyspą zamkową. Są one zwarto zarośnięte drzewami i gęstem poszyciem krzewów i traw, pełne jagód, kwiatów i ptaszęcego śpiewania. Wybujałe i samotne, jak scenerja Böcklinowskich tematów, przywołują echa klasycznych idylli i zdają się opowiadać swawolne historje o kosmatych faunach, o wabnych, smukłych nimfach leśnych. Dyszą całe lekkomyślną i boską błogością bezgrzesznego życia człowieka wespół z przyrodą, bez rozdziału i przeciwstawienia. A któraś z ostatnich wysepek jest poprostu romantycznem gniazdem,



JEZIORO TROCKIE. WYSPA.

Oryginał wykonany na papierze Kodaka. Odbito na papierze z krajowej fabryki J. Franaszek, S. A. w Warszawie



JEZIORO TROCKIE. WYSPA.

Oryginał wykonany na papierze Kodaka. Odbito na papierze z krajowej fabryki J. Franaszek, S. A. w Warszawie

zaciszną kryjówką, umyślnie stworzoną do marzenia i do kochania. Jej leszczynowe zagaje są opiekuńczemi ścianami, jej kwitnące murawy—miękkiem posłaniem, a brzozy zielonym stropem nakrywają ten przybytek słodkich wczasów i miłośnych igraszek. Wszystkie dawne legendy o zakochanych parach mogłyby tam wskrzesnąć i zadrżeć nanowo różanem, krwią pulsującem ciałem. Wszyscy kochankowie świata znaleźliby tam dość kwiatów, by z nich splatać sobie wieńce radośnego królowania i wróżyć niezmącone przepowiednie szczęsnego jutra. Tam każda gałązka troskliwie otula, każdy listek łagodnie pieści; tam szmery wiatru naszeptują słodkie zwierzenia, a słońce przenika gęstwinę tylko po to, by gorejącemi plamami złocistości znaczyć na mszystej darninie, pochód szczęśliwych godzin bez miary i kresu. Tam białopienne brzeziny wydłużają się ku niebu z przejasnym wdziękiem okrągłych kobiecych ramion, tam malinowe jagody mają kraśną soczystość wilgotnych warg, rozchylonych do pocałunku; tam chwiejne trzciny pochylają się ku sobie z ostrzegawczym gestem, a modre prześwity lśniącej wody wskroś leszczynowych wylotów przynoszą i oddają oczom wszystką swą cichą błękitność...

To są naprawdę „wyspy szczęśliwe"...

. . . .

Powraca się z nich o wieczornej zorzy. Woda ma wtedy senną oleistość miodowego płynu i pod powolnemi ruchami wioseł przelewa się leniwem czarnem wirowaniem. Dalej odbija wygładzona tafla jeziora wszystkie kolorowe zdarzenia i dziwy, jakie się dzieją na niebie, gdzie chmury kładą się już do snu, ściągając od zenitu ku widnokręgowi sinemi i płomiennemi szeregami. Po wodzie ścielą się plamy to granatowe, to krwawe, i rysują się w niej wizerunki chmur wszelakich kształtów, barw i odcieni. Rozjaśni ją czasem białoróżowy uśmiech niewymownej piękności, co spłynie błogosławieństwem i łaską napełni oczy, jak gdyby zesłany przez orszak przelatujących aniołów. Mienią się niebo i woda i trwają naprzeciw siebie echowem podobieństwem podwójnego cudu. Wygładzona i stężała płyta jeziora staje się tęczową paletą słonecznego malarza, wiernym obrazem jego twórczego natchnienia. Ukryty za purpurowemi firankami widnokręgu, maluje on na sklepionem płótnie firmamentu kształty coraz piękniejsze, mięsza kolory w coraz barwniejsze zespoły, łączy je w coraz pełniejsze akordy wieczornej symfonji. To uderzy jaskrawą fanfarą rozkrwawionego szkarłatu, wiodąc ją pomarańczowym i miedzianym wtórem w allegro przeczystej złotej poświaty, to zagra ściszonym refrenem na nikłych seledynowych i bladoliljowych strunach i rozpłynie się w błękitne pianissimo bezchmurnego zenitu. A kiedy do palety malarza przyda mistrz jeszcze rzeźbiarskie dłuto, którem wyokrągli i wyplastyczni wielofarbne obłoczne tworzywo, gdy z rozrzutną fantazją barokowego architekta zbuduje z niego mirażowe grody, kopuły i bra-



TROKI. RUINY ZAMKU LĄDOWEGO.

Oryginał wykonany na papierze Kodaka. Odbito na papierze z krajowej fabryki J. Franaszek, S. A. w Warszawie



TROKI. ZAMEK NA WYSPIE.

Oryginał wykonany na papierze Kodaka. Odbito na papierze z krajowej fabryki J. Franaszek, Sp. Akc. w Warszawie

my, gdy je zaludni widmowemi ciągami bajecznych potworów, rozskrzydlonych ptaków i gadów, spływających zwolna w czerwoną pożogę nieba — wówczas człowiek niemieje i w słodkim bezruchu zachwycenia korzy się przed wielkim majestatem ziemi i nieba, odmawiających w świetlistej zorzy kolorowy różaniec wieczornych modłów...

A potem łódka wstępuje w oćmę wydłużonych cieni, rzucanych przez wyspy i pogrąża się w smętek ich zmierzchłej siności. Jeszcze ognista, dopala się między szczytami drzew pożarna łuna zachodu,— ale brzozy już zastygają pod światło twardemi, żałobnemi sylwetami i bezradnie marzą o minionem szczęściu słonecznego dnia. Dogasają światła, nikną kolory, a woda pod wiosłami złowrogo wiruje atramentową czernią...

Wtedy płynie się przyśpieszonym rytmem wiosłowych rozmachów do brzegu i odjeżdża, unosząc w oczach i w duszy niezapomniany obraz przeżytego piękna.

SPIS OBRAZÓW:

Tekst i ilustracje niniejszej książki zostały odbite na papierze kredowym z krajowej fabryki „J. Franaszek, Sp. Akc." w Warszawie.
Oryginały ilustracyj zostały wykonane na papierach bromowych Kodaka „Royal", „Platinomatte" i „Nikko"
Klisze ilustracyj wykonał zakład cynkograficzny Feliksa Zaniewskiego w Wilnie.

DRVKARNIA
WILNO
LVX